

Kilka uwag po obchodach stulecia niepodległości

RAFAŁ STOBIECKI



Kilka uwag po obchodach stulecia niepodległości

Obowiązkiem historyka, w ogóle każdego obywatela jest mówić o tym, o czym mówić nie wypada.

(Karol

Modzelewski)

Jako historyk i jako obywatel z uwagą obserwowałem zakończone niedawno obchody stulecia odzyskania przez Polskę niepodległości. Mówiąc najbardziej eufemistycznie, nie nastrajają one optymistycznie. Mizeria obchodów państwowych, ograniczonych do uroczystości przed Grobem Nieznanego Żołnierza, słynnego marszu, a w zasadzie dwóch odrębnych manifestacji, w których przedstawiciele władz w wyniku zawartego w ostatniej chwili „kompromisu” maszerowali razem ze środowiskami narodowymi, oraz wspólnego śpiewania Mazurka Dąbrowskiego, aż „kłuła w oczy”. Było mi smutno i wstyd. Jak trafnie zauważył jeden z młodych publicystów, nawet nieudolna i dziś w większości słusznie wyszydzana Polska Rzeczpospolita Ludowa potrafiła na tysiąclecie państwa polskiego zbudować tysiąc szkół, a III RP może zaoferować najwyżej brak zamieszek na kilkudziesięciotysięcznym marszu narodowców. Ktoś inny napisał, że z okazji stulecia odzyskania niepodległości postanowiliśmy zorganizować wielki pokaz cech narodowych, przez które tę niepodległość straciliśmy.

Jedną z nielicznych imprez, które wymykały się tradycyjnej i nudnej formule obchodów, okazały się łódzkie Igrzyska Wolności, zorganizowane pod hasłem Bitwa o historię przez środowisko związane z pismem i fundacją „Liberte!”, którym od lat szefują Błażej Lenkowski i Leszek Jażdżewski. Zgromadziły one wiele indywidualności ze świata kultury, nauki i polityki (kolejność nieprzypadkowa) oraz kilkutysięczną publiczność. W trakcie wykładów, spotkań autorskich i paneli czuć było atmosferę krytycznego namysłu nad fenomenem niepodległości, zaproponowano włączenie w dyskurs rocznicowy nowych tematów (dzieje kobiet czy historia LGBT). Dyskutowano o edukacji szkolnej w dziedzinie historii, stosunkach polsko-żydowskich i polsko-ukraińskich, polityce historycznej, współczesnych obliczach patriotyzmu. I choć do mediów przebiły się przede wszystkim wystąpienia celebrytów politycznych (Donald Tusk, Robert Biedroń) i części reprezentantów świata filmu (Agnieszka Holland), to pozostało wspomnienie czegoś ważnego, oryginalnego i inspirującego.

Jakie treści historyczne niosły ze sobą oficjalne, państwowe uroczystości związane z 11 Listopada, w dużym stopniu powielane w mediach, różnych zresztą orientacji? Ryzykując pewne uproszczenie, można powiedzieć, że wiązały się one z trzema korespondującymi ze sobą przekazami.

Po pierwsze, niepodległość zawdzięczamy Józefowi Piłsudskiemu. W tym sensie nie miała racji wspomniana Agnieszka Holland, gdy oznajmiła w Łodzi, że „Piłsudski został wyrugowany przez Lecha Kaczyńskiego, musiał się posunąć w krypcie, a teraz na placu swojego imienia”. Figura Piłsudskiego jako ojca i matki niepodległego państwa zdominowała przekazy medialne zarówno te tradycyjne, jak i te związane ze światem mediów elektronicznych. W jakimś sensie potwierdza to krążącą anegdotę o tym, czym jest PiS – „grupą rekonstrukcyjną sanacji z Żoliborza”. Zauważalne było to, że w cień zostali usunięci inni bohaterowie niepodległości – Roman Dmowski, Ignacy Paderewski, Wojciech Korfanty czy Ignacy Daszyński. Co prawda przywódcy socjalistów po wielu latach poświęcono odsłonięty w Warszawie pomnik, ale nie zmienia to faktu, że ma on wyjątkowego pecha dziejowego. Najpierw krytykowany przez samego Piłsudskiego, potem wyrugowany z oficjalnej pamięci i historiografii przez prawie cały okres PRL, na krótko „zrehabilitowany” w latach 80. ubiegłego wieku, dziś wrócił jako patron głównie postkomunistycznej lewicy. Owo związanie rocznicy niepodległości z postacią Marszałka, a jednocześnie z podpisaniem zawieszenia broni na Zachodzie skutkowało także tym, że zupełnie pominięto inne daty symbolizujące początki II Rzeczypospolitej: 7 listopada – powstanie rządu ludowego, 14 listopada – powierzenie Piłsudskiemu funkcji tymczasowego naczelnika państwa, czy 27 grudnia – wybuch powstania wielkopolskiego. Na przykład rocznica powstania rządu lubelskiego została przedstawiona jedynie w jednym z dzienników TVN, całkowicie zaś przemilczały ją inne telewizje, w tym TVP. Gdzieś wyparowały tak żywe jeszcze w II Rzeczypospolitej spory o zasługi dla niepodległości (jak wiemy, data 11 listopada stała się świętem państwowym dopiero

w 1937 r. i decyzja ta była mocno krytykowana przez środowiska związane z Narodową Demokracją).

Nową wartością, którą warto odnotować, było natomiast zauważenie po raz pierwszy na taką skalę wkładu kobiet w dzieło odzyskania niepodległości. Periodyki różnych orientacji politycznych, portale internetowe, liczne wydawnictwa przypominały bohaterki akcji pod Bezdunami – Aleksandrę Szczerbińską, Zofię Prystorową, czy postaci pierwszych posłanek do Sejmu Ustawodawczego, m.in. Gabrielę Balicką, Zofię Moraczewską czy Irenę Kosmowską.

Po drugie, dominujący przekaz zupełnie zamazywał to, co łączy się z procesualnym wymiarem historii. Można było odnieść wrażenie, że niepodległość wybuchła nagle w listopadzie 1918 r. i była zasługą przede wszystkim Polaków. Jej odzyskanie prezentowano jako rodzaj „cudu”, który nastąpił nie wiadomo dlaczego. W rocznicowej wersji historii zabrakło miejsca, by pokazać rolę takiego, a nie innego przebiegu I wojny światowej, znaczenie jednoczesnej klęski trzech zaborców czy rewolucji w Rosji.

Heroiczna z ducha wizja przeszłości zmarginalizowała jej zbiorowy wymiar. Niepodległość okazała się rezultatem przede wszystkim wydarzeń politycznych i walki, głównie Legionów, w daleko mniejszym stopniu armii Józefa Hallera czy jednostek wojskowych tworzonych w Rosji. Nie udało się pokazać ani różnych dróg prowadzących do odrodzenia państwa, ani jej aspektów społecznych, kulturowych czy gospodarczych.

Po trzecie, forsowany przez władze i media obraz wydarzeń miał wybitnie polonocentryczny charakter. Można było wysnuć wniosek, że nikt poza Polakami nie cieszył się w 1918 r. z odzyskania niepodległego państwa. Zapomnieliśmy o Litwinach, Łotyszach i Estończykach, nie chcieliśmy pamiętać o powstaniu niepodległej Czechosłowacji, Jugosławii czy Finlandii. A to przecież w większości nasi sąsiedzi, byli i obecni. Niewiele pisało się o ujawniających się pod koniec wojny, częściowo

zrealizowanych, niepodległościowych dążeniach Ukraińców i Białorusinów (w gronie periodyków społeczno-kulturalnych chlubnym wyjątkiem był „Tygodnik Powszechny”).

Utrwaliło się przekonanie, że Polska jest (była?) jakąś wyspą w Europie Środkowo-Wschodniej, izolowaną od reszty, dla której historia stworzyła specjalne prawa, mające legitymizować jej wyjątkowość. W taką polonocentryczną wizję historii wpisał się także Instytut Pamięci Narodowej. W ramach ogłoszonego konkursu „Sto książek na stulecie niepodległości” jego władze postanowiły wznowić tylko jedną pracę, o jakże charakterystycznej wymowie. Jest nią Duch dziejów Polski (pierwsze wydanie 1917) Antoniego Chołoniewskiego. Abstrahując od znamienego faktu, że tym samym władze Instytutu uznały, iż żadna inna praca polskiego historyka wydana po 1918 r. nie zasługuje na taki zaszczyt, należy zwrócić uwagę co innego. Trudno nie odnieść wrażenia, że przeniknięte duchem megalomanii narodowej (do dziś używamy przecież terminu „chołoniewszczyzna” jako synonimu bezkrytycznego podejścia do narodowej przeszłości), poczucia szczególnej misji narodu polskiego i jego uniwersalnych przymiotów, pełne nieuprawnionej apologii polskiej wolności, dzieło to dobrze koresponduje z forsowaną przez obóz „dobrej zmiany” polityką historyczną. Polityką odrzucającą „pedagogikę wstydu”, krzewiącą z uporem godnym lepszej sprawy jedynie poczucie dumy z narodowej przeszłości, widzącej w Polsce wzór dla innych narodów europejskich. Pisząc swoją książeczkę w 1917 r., Chołoniewski był pełen dobrych intencji, w dużym stopniu tłumaczą go okoliczności powstania pracy i chęć zakwestionowania, szkodliwych jego zdaniem dla polskich aspiracji niepodległościowych, też tzw. krakowskiej szkoły historycznej (Walerian Kalinka, Józef Szujski, Michał Bobrzyński). Ale dziś? Komu i czemu ma służyć ta z gruntu anachroniczna historiozofia? Chyba tylko utrwalaniu przekonania, jacy to byliśmy na przestrzeni dziejów wspaniali, tolerancyjni i wyjątkowi. To wizja patriotyzmu nie tylko rodem z czytanek dla dzieci i młodzieży, lecz także głęboko naiwna i

społecznie szkodliwa.

Zacząłem ten tekst cytatem z wypowiedzi nestora polskich historyków – Karola Modzelewskiego. Jego słowami chciałbym także zakończyć: „wstyd jest objawem uczuć patriotycznych. Jeśli uwiera mnie coś, co uczynili Polacy, to znaczy, że łączy mnie z nimi więź. Gdyby oni nie byli moi, to ja bym może ich zachowaniem gardził, może bym potępiał, ale bym się nie wstydział. Za rodaków wstydzi się tylko patriota” *.

Przypisy:

** To nie jest kwestia hematologii. Z profesorem Karolem Modzelewskim rozmawia Kalina Błazejowska, „Pismo” 2018, nr 11.*

Korekta językowa: Beata Bińko